

# Rzeka

Emília Kieres  
**Rzeka**

Nasza Księgarnia

# 1



Ścieżka była wilgotna, a kamienie śliskie. Kilian stawiał stopy pewnie, nie musiał nawet o tym myśleć – szedł szybko, niemal biegł. Wiedział, jak iść po mokrych skałkach, żeby nie upaść. Miał to we krwi – tu się urodził, tu stawiał pierwsze kroki.

Z wysokich gałęzi odrywały się pojedyncze krople i wpadały mu za kołnierz. Wczesnym popołudniem przeszedł rześisty deszcz; pąki na drzewach od razu urosły i potok szumiał głośniejszy. Las był pełen ptasiego śpiewu – dalej i bliżej, nisko i wysoko niosły się melodie proste albo zawite, splecione w jeden radosny głos. Powietrze pachniało mokrym mchem i śniegiem, który topniał wysoko w górach.

Za zakrętem stał głaz, wciąż jeszcze wyższy od Kiliana, chociaż chłopak sporo urosł przez zimę i prawie dorównał wzrostem matce. Kilian zatrzymał się przy nim, żeby nabrać tchu, i spojrzał na stromą ścieżkę, wiodącą w dół przez las. Powoli zmierzchało, ale i tak zauważył między pniami jasny serdak\* matki.

\* serdak – rodzaj kamizelki; krótki kożuszek do pasa

Siedziała na omszałym kamieniu nad brzegiem potoku. Wzrok miała taki, jakby patrzyła gdzieś bardzo daleko – a przecież spoglądała tylko na wodę, pędzącą po skalistym dnie i rozpryskującą się tuż pod jej nogami.

Chłopak podszedł i dotknął matczyne ramienia.

Położyła dłoń na jego dłoni i dopiero po chwili przeniosła spojrzenie na syna.

– Nic? – odgadł Kilian tak cicho, że jego głos nie przebił się przez szum wody. Ale matka wiedziała, o co on pyta. Pokręciła przecząco głową.

Przysiadł obok niej, nieśmiało oparł głowę na jej ramieniu, a ona objęła go jedną ręką. Wpatrzył się w gałąź, która utknęła między dwoma kamieniami na dnie potoku. Była odarta z kory, już całkiem wygładzona. Chociaż woda szarpała nią nieustannie, gałąź nie mogła się wydość i popłynąć dalej. Kilian jak odrętwiały nie odrywał od niej wzroku.

Nie mógł skupić myśli. Odkąd sięgał pamięcią, zawsze czekał na powrót ojca. Na próżno.

Kołysał się lekko wraz z matką, a szum wody wypełniał jego głowę, w której kołatało się to jedno słowo: nic.



Dopiero przy wieczery Kilian dowiedział się więcej. Matka była na dole, we wsi, bo doszły ją słuchy, że wrócił ostatni oddział wojowników. Pobiegła sprawdzić, czy i oj-

ciec przybył z nimi, ale okazało się, że nie. Nie umiano – a może nie chciano? – nic jej o nim powiedzieć, zupełnie jakby rozplynał się w powietrzu. Gorzej: jakby go nigdy wśród nich nie było.

A przecież był.

Poprowadził oddział na wojnę, już tak dawno temu. Wszyscy czekali.

A potem długa wojna się skończyła. Kolejne oddziały wracały w rodzinne strony – ale ojciec nie wrócił. Minął rok, drugi, trzeci. Słuch o nim zaginął.

– Zupełnie nic nie wiedzą? – upewnił się Kilian. Z miski kaszy unosily się smużki pary i układały się w powietrzu w wymyślne zawijasy. Żadne z nich nie jadło, jakoś nie dopisywał im dziś apetyt. Żar widoczny przez uchylone drzwiczki bielonego pieca odbijał się w szybkach niewielkiego okna nad stołem.

Matka pokręciła głową. Usta jej drgnęły.

– Był na wojnie – szepnął chłopak, nie chcąc wypowiedzieć na głos słów, których oboje tak bardzo się obawiali.

– Ale żyje! – Matka podniosła na niego płonące oczy. – Wiem, że tak.

– Może o nas zapomniał – wyrwało się Kilianowi spod serca. Zawstydził się natychmiast, ale zaraz dorzucił, jakby dla usprawiedliwienia: – Ja go nie pamiętam.

Matka spojrzała na syna: na jego szczupłą, trójkątną twarz o ostrym podbródku i wyraźnie zaznaczonych koś-

ciach policzkowych; na nieco skośne oczy w kolorze gryczanego miodu, które patrzyły śmiało i z mocą. Jego brwi ściągnięte były teraz w wyrazie troski, a na jasne, wysokie czoło opadała niesforna popielata czupryna.

– Jesteś do niego bardzo podobny – powiedziała w końcu. – Kiedy na ciebie patrzę, przypominam sobie, jak on wygląda. Nie zapomniał o nas – dodała po chwili. – On by nie mógł.

W jej głosie brzmiała niezachwiana pewność, która zaskoczyła chłopaka, ale zarazem podtrzymała w nim ostatnią iskierkę nadziei.



W nocy od wysokich gór dobiegał raz po raz odległy głuchy huk. To schodziły lawiny. Śnieg na szczytach topniał.

Kilian leżał z otwartymi oczami. Serce biło mu niespokojnie. Potok przepływający niedaleko domu szumiał i pluskał. Nocą zawsze był głośniejszy niż za dnia. Przed oknem, na tle nieba rozjaśnionego księżycem, przemknął mały nietoperz. W niebieskawym świetle wyraźnie rysował się ośnieżony kontur Najwyższego Szczytu.

Kilian czuł, że rośnie w nim silne postanowienie, którego nie potrafił nazwać. Coś się zmieniało.

## 2



Wiosna wybuchła nagle – zdawało się, że przez jedną noc rozwinęły się liście, zakwitły krzewy, a łąki obsypały się krokusami. Góry zrzuciły zimowe okrycia, odsłaniając ciemne granitowe zbocza; jedynie w ocienionych żlebach i na wysokich szczytach bieleły się uparcie ślady zimy.

Od powrotu ostatnich wojowników minęło kilka długich tygodni. Przez ten czas Kilian był stale niespokojny i nieobecny duchem. Matka obserwowała go w milczeniu, czekając, kiedy jej jedyny syn powie o swoim postanowieniu. Wiedziała, że ono w nim rośnie.

Pewnego dnia Kilian leżał na łące, na której zwykł wypasać owce. Słońce grzało mocno, przez rześkie powietrze przepływały smugi chłodu. Brzęczały trzmielce, trawa i kwiaty pachniały słodko i miodowo, pobrzękiwały blaszane dzwonki na szyjach owiec. Chłopak zsunął kapelusz na twarz, a rękę położył na kudłatym grzbiecie psa, który wygrzewał się obok. Po raz pierwszy od dłuższego czasu Kiliana ogarnął błogi spokój. On sam zauważył to dopiero po chwili i zdziwił się, że nic nie ciąży mu na sercu. Zdjął kapelusz, wsparł się na łokciu i spojrzał przed siebie.

Rozległa ukwiecona łąka leżała w kotlinie, zamkniętej z dwóch stron zalesionymi wzgórzami. Z trzeciej strony, na wprost Kiliana, w pewnej odległości widać było potężne skały, nad którymi górował Najwyższy Szczyt. O tej porze dnia stał w pełnym słońcu. Granitowe zbocze, porośnięte tu i ówdzie kosodrzewiną, wznosiło się wysoko, wysoko, wyrastając majestatycznie ponad sąsiednie góry.

Kilianowi krew uderzyła do głowy.

Ależ oczywiście!

Poderwał się z ziemi i zaczął pokrzykiwać, zaganiając owce. Pies leniwie podniósł powieki i zastrzygł uchem, ale w końcu także wstał niespiesznie i obiegł stado, poszczekując raz po raz. Owce zbiły się w ciasną gromadkę i zaczęły schodzić z łąki.

Matka siedziała akurat przed domem i oprawiała pstrągi. Słyszając niezwykle o tej porze dnia poruszenie, wstała, osłoniła oczy przedramieniem i spojrzała w górę. Niepokój ścisnął jej serce. Przepłukała ręce w stojącym obok cebrażku, wytarła je w fartuch i zrobiła parę kroków naprzód.

Wkrótce Kilian stanął przed nią zdyszany, z rumieńcami na szczupłych policzkach. Cały promieniał.

– Wiem, co muszę zrobić! – wysapał roześmiany.

Kobieta nic nie powiedziała, spojrzała tylko pytająco.

– Wejść na Najwyższy Szczyt. Rozejrzę się, z góry na pewno widać wszystko. Może dojrzę jeszcze jakichś maruderów. Może ojciec wraca, może z innym oddziałem...

Jutro rano wyruszę, wejść i zobaczę – mówił, a oczy mu świeciły jak bursztyny.

Matce znów lekko drgnęły usta; usiadła na przyzbie\*, oparła łokcie na kolanach i spojrzała na skalny wierzchołek, wynurzający się zza ciemnych świerków.

– Na górze jeszcze leży śnieg – szepnęła głucho.

Kilian spojrzał na nią i nagle poczuł się niepewnie.

„Dlaczego ma takie smutne oczy?” – przemknęło mu przez głowę, ale nic nie powiedział.

– Na każdego przychodzi taka chwila, że chce wejść na Najwyższy Szczyt – dodała matka po chwili namysłu. – Poszedłbyś, nawet gdybym ci tego zabroniła.

Chłopak odwrócił wzrok na górę, jakby go ona przyzywała. Matka miała słuszość.

– Dlatego się zgadzam – powiedziała. – Wolę, żebyś wyruszył z moim błogosławieństwem. Nie wiem, kiedy cię znów zobaczę.

Kilian się zaśmiał, choć poczuł lekkie ukłucie niepokoju.

– Jak to? – spytał, siląc się na żartobliwy ton. – Dlaczego tak mówisz, matko? Wejść na górę i wróć. Zajmie mi to trzy, może cztery dni.

Kobieta namyślała się przez chwilę, po czym wstała, podeszła do potoku i starannie umyła ręce.

\* przyzba – wał usypany z ziemi dokoła podmurówki dawnej chaty wiejskiej, czasami pokryty deskami

– Chodź, dam ci coś na drogę. – Skinęła głową na syna i skierowała się do domu.

Wewnątrz było cicho, ciepło i cieniście, pachniało starym drewnem. Matka lekko przeszła po modrzewiowej podłodze do komory. Drzwi skrzypnęły, a w wąskiej smudze światła wpadającej przez kwadratowe okienko zatańczyły drobne pyłki. Jakiś duży owad po drugiej stronie okna stuknął głośno o szybę i odleciał dalej. Chłopakowi wydało się nagle, że ta chwila ma w sobie dziwną powagę, choć przecież nie działo się nic niezwykłego.

Matka podeszła do barwnie malowanej drewnianej skrzyni – to była jej skrzynia posagowa. Kilian wiedział, że przechowuje się tam najcenniejsze rzeczy: pościel, haftowane obrusy i odświętną bieliznę. Teraz matka podniosła ciężkie wieko i wydobyla ze skrzyni koszulę.

Ostrożnie rozłożyła ją na wieku i wygładziła delikatnym, czułym ruchem dłoni.

– Są dwie takie koszule – powiedziała. – Jedna dla ojca, druga dla najstarszego syna. W twojej rodzinie po mieczu przekazuje się je z pokolenia na pokolenie. W tej drugiej twój ojciec wyruszył na wojnę. – Przez chwilę patrzyła na koszulę z nieodgadnionym wyrazem twarzy, wreszcie spojrzała na syna. – Włóż ją rano, kiedy będziesz wyruszał.

Kilian przyjrzał się koszuli. Nigdy dotąd jej nie widział. A może nie pamiętał. Była przepiękna. Śnieżnobiałe płótno wydawało się cienkie i miękkie, a na piersi i mankie-

tach lśniąca błękitną nicią wyhaftowano ozdobny wzór. Przeplatały się w nim rośliny – krokusy i dziewięciły – między którymi siedziały sokoły. Chłopak uświadomił sobie, że podobny wzór wyrzeźbiono na sosrębie\* w głównej izbie.

– Dlaczego mam ją włożyć? – zdumiał się Kilian. – To nie jest zwykła koszula. To nie jest koszula na wędrowną w góry!

– Weź ją – ucięła kobieta. – Twój ojciec na pewno by tego chciał. Sam miał ci ją dać we właściwym czasie – dodała ciszej po chwili.

Czyżby to był ten właściwy czas? Chłopak spojrzął na matkę.

„Smutne oczy – pomyślał znów. – Dlaczego są takie smutne?”

\* sosrąb – gruba, zwykle zdobiona belka stropowa biegnąca wzdłuż całego pułapu i podtrzymująca go